ROK I Nr

SKAWA

CZASOPISMO LITERACKIE

LISTOPAD
GRUDZIEŃ

WARSZAWA 1938 CENA 90 GR.

SKAWA

Dwumiesięcznik literacki

pod redakcją

JANINY BRZOSTOWSKIEJ

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
WARSZAWA: UL. NOWOGRODZKA Nr 23, m. 5. TEL. 9-55-88

Godziny przyjęć redakcji: wtorki 5—7

Cena numeru pojedyńczego . . . . 0.90 gr.
W prenumeracie rocznej miejscowej . . . . . . 5.40 „
„ „ zamiejscowej . . . . . 6.— „
„ półrocznej miejscowej . . . . 2.70 „
„ „ zamiejscowej . . . 3.— „
wraz z kosztami przesyłki i opakowania.

S K A W A

Nr 1 **1938**

JULJA WIELEŻYŃSKA

PRÓŻNYCH MĘCZEŃSTW PRZERAŻONY ŚWIADEK

słowo o Adamie Asnyku w setną rocznicę urodzin

Może przypadek, może logika wypadków sprawia, że w tym samym roku święcimy stulecie Asnyka i pamięć powstania 63-ego. W zbieżności — mniejsza o to skąd idącej — ze względu na Asnyka, bo od jego strony patrzymy w tej chwili na daty, tkwi głęboki symbol. Tu jest klucz i brama do jego życia i ducha. Kto chce wstąpić na jego myślowy ląd, zobaczyć, jak wygląda u niego prawo ciał niebieskich i prawo człowieka, kto chce zrozumieć jego sępie zamyślenie na fotografjach i portretach, ba, nawet heinowski uśmiech nad krwawiącem sercem, jego ufne przytulenie się do skał tatrzańskich, aż po wyczucie w nich pulsu macierzyńskiej krwi, kto wreszcie chce dotrzeć, jak ten żałobnik po romantyzmie stał się — czego dotąd nie doceniono — jednym z najświetniejszych klasyków w naszej poezji, ten musi nad pięcioma literami nazwiska *Asnyk* napisać dwie cyfry: 63. Niema drugiego twórczego człowieka w Polsce, którego dzieło byłoby tak wyłącznem lennem tej daty, jak i niema nikogo, ktoby był jego odpowiednikiem wobec roku 1830-go.

Zaczyna się dla nas Asnyk w porywie patrjotycznym i trwa do końca z raną, jaką w nim odniósł. Pamiętajmy o tem. Musimy go uważać za duchowego inwalidę powstania, jak żyją koło nas fizyczni inwalidzi wielkiej wojny, przygwożdżeni krzywdą do daty, co już minęła, kiedy wkrąg nich narasta nowa ludzkość powojenna. Tak właśnie wyglądał Asnyk wobec pokoleń, które w powstaniu nie krwawiły, nie miały go w tętnie żył, lub duchowo przyszły po niem. Był to inwalida, któremu cios poraził centralne ognisko psy-

chiki: prometeizm i ofiarnictwo, a zarazem oniemił w nim nerw radości życia. Ale inwalida, który nie chciał paradować kalectwem, najpierw zagadywał je głośno — za wysoko na swój rodzaj głosu — unosił się gniewem, złorzeczeniem, szyderstwem, jak każdy człowiek dumny a głęboko nieszczęśliwy. Aż kiedyś, zebrawszy się w sobie, postanowił pójść pątniczo do jakiejś cudownej Composteli duchowej, choć przyszło mu to uczynić ciężkim wysiłkiem woli. Cud się faktycznie ziścił: rana przestała zatruwać organizm, przeciwnie: jak w starych cyklach rycerskich, stała się siłodajna, upodobniła się ranie Mordreka, przez którą skroś szło słońce. Tylko nie słońce-blask, słońce-tryumf, lecz słońce-mądrość, słońce-prawda. A na dziele, które poeta swemu narodowi zostawił, rana widnieje nieomylnie jak budzący cześć stygmat, zastygły piękną czerwienią rubin.

Całe życie bolejąc tym jednym bólem, i całe życie poetycko i myślowo się z niego lecząc, Asnyk jest — ale tylko na tym jednym punkcie — ostatniem ogniwem naszej poezji wieszczej, końcowym przedstawicielem „totalizmu", jeżeli można przenicować znaczenie tego terminu, biegunowo dalekiego światu, o którym mowa. Totalizm znaczy: że pogląd wczarowany w poezję, obejmował *wszystkość*, a Polska i jej odrodzenie było tonacyjną struną harfy świata. Albo ona miała poddać melodję koncertowi wszechwartości ludzkich, albo zadźwięknąć jako odpowiedź na przestrojenie narzędzia na nowy ton. Ale gdy wieszczowie międzypowstaniowi opierali konieczność zmartwychwstania na prawie moralnem, Asnyk wniósł ją do budowli praw poza-ludzkich, które z ludzkiemi złączył, w rejestr naukowo-przyrodniczy, prawda że z wysokiem nadpiętrzem metafizyki. Jak Mickiewicz po pierwszem powstaniu przebojował sam w sobie twardy dwu-bój Konrada z ks. Piotrem, aby nazajutrz wyjść na uspokojoną okolicę Ksiąg Pielgrzymstwa, a stamtąd na transponowany z bólu w błękitną tęsknotę koloryt Pana Tadeusza, tak Asnyk zmagał się walką między romantyzmem a pozytywizmem, aż sobie znalazł bieg i ujście w pogląd własny, przez co poetycko i ideowo dał nową zdobycz Polsce. I dlatego możemy go so-

*) Dziwnym trafem w określeniu *totalizm*, aczkolwiek użyłem w odmiennem znaczeniu, zbiegłem się z dr. Henrykiem Szuckim (artykuł na dzień stulecia poety, 11.IX r.b. pt. „Walka Asnyka, z Asnykiem i o Asnyku" ogłoszony w Czasie).

bie wyobrazić jak św. Krzysztofa, przenoszącego Dzieciątko Boże — naszą poezję — z jednego na drugi brzeg wypadków, aby jej wskazać dotychczas ugorem leżącą ziemię pod obfitą uprawę.

Asnyk, dusza o najszerszej pojemności intellektualnej, z silną reakcją uczuciową i z busolą niezmiennie nastawioną na syntezę, „kształt swój doskonały przybiera pod nieszczęścia młotem". Nie domyślamy się, jaki byłby głos i dziedzina jego talentu, gdyby nie nagłe i przedwczesne, jeszcze przed początkiem, strącenie z własnej (kto wie, może nawet właściwej) drogi i rzucenie go na ukos, na przekątną ku jakiemuś narazie niewidzialnemu dojściu. Była, jak widzieliśmy, chwila oporu, ale przyszła i chwila, gdy samowiednie wszedł na konieczny dalekobieżny tor. Niestety, nie znaczył ten dzień końca cierpień pieśniarza; przychodziły nieszczęścia łamać go przez całe życie. Najboleśniejsze — to zgon (pozorny!) poezji, jako wynik (pozornego!) zgonu narodu, podkreślone osamotnienie inwalidy, dalej dośmiertne rozłączenie z najukochańszą połacią Polski krajem lat dziecinnych, Kaliszem i widownią młodzieńczego bohaterstwa, Warszawą, rwanie się nici serca, ilekroć — rzadko — bardziej po ziemsku zabiło, kilka ciężkich strat rodzinnych, wreszcie choroba, powolne latami wrastanie do mogiły.

Wiersz „Sam na sam" pokazuje, że nietylko *musiał*, ale że zarazem i *umiał* przestać być sobą.

A wtedy nastał okres niezwykłego męstwa, zdolność rzucania od siebie mostów ku wszystkiemu, co szło na podbój jego duchowego posiadania. Pierwszy krótki gest opozycji jest zwykle reakcją *poety*. Ale zaraz *myśliciel* zamyka się w sobie i po chwili wraca z własnych głębin na światło wypadków z wyciągniętą do zgody ręką: „My błogosławim wam, rycerze młodzi...". Dużo go to musiało kosztować, ale się za każdym razem przemagał. Bo: „pobojowiska, gruzy i cmentarze muszą się pokryć kwiecistą zasłoną". Kiedy idzie o sprawy społeczne, naodwrót, motorem przesunięcia się jest serce. Demokrata dawnego, romantycznego pokroju, który wybawcy Królewny oczekiwał pod strzechą, wobec haseł materjalizmu dziejowego początkowo wstrząsnął się z niechęcią. „Bachantką-wiedzą" nazwał wogóle materjalizm, a bachantki — pamiętał o tem — zabiły Orfeusza, śpiewaka ideału i żałoby, w którym widział samego siebie. Ale nawet z Bachantką pojednał się Asnyk, skoro dojrzał, że niesie ona wyzwoleńczą broń dla tysięcy istot, niewiadomo cze-

mu skazanych na śmierć, „gdy na chleb ciężką zarabiają pracą". Postawiwszy twarzą w twarz „baśń tęczową" i „myśl o synach ginących z głodu", osądem sumienia kazał ustąpić... baśni. Jest to najcięższa ofiara, jakiej dokonał. Czasowo. Burzący dziś, jutro staną się budującymi. Dobroć jest też poezją. Zbyt wiele miał jej w sobie poeta, aby nie czuł jej wysokiego piękna. Zresztą właśnie owa podwalinowa wszystkość... Konieczność i dobro same za sobą przyciągną Polskę i urodę:

...błyśnie dzień,
w którym duch ludzki na nowo
ożywi zeschły życia pień
girlandą kwiecia różową.
I w prochu, w który dziś się wpił,
na dawnych marzeń ruinie,
zaczerpnie zapas twórczych sił
i znowu w niebo popłynie.

Przyjdzie okwit wszystkiemu, co jest wieczne, jedynie nasza orbita przechodzi niekiedy przez pasy zaćmienia. Tylko ty, poeto, „ziszczenia snów, owoców trudu nie pragnij tu oglądać".

Dość ci wiedzieć, że przyjdą kiedyś... po tobie.

Twarda to askeza, która rozodziała jednostkę ze wszystkiego aż do zrębu-szkieletu, a ten postawiła w djalogu sam na sam z nieszczęściem. „Niech twa ręka wszystko we mnie kruszy, co z osobistem pragnieniem się wiąże". Nie boi się, bo naprawdę wie, że już mu nic więcej nie można odebrać. Oddawna jest „po tamtej stronie szczęścia i nieszczęścia", a „w świetle grobu tajemniczem i ból i rozkosz zarówno są... niczem". Więc też, kiedy pisze, że „tym, którzy smutni, tym, którzy zgnębieni... cierpią i giną", widzi, że *im* trzeba jasnych uśmiechów w błękicie, *siebie* zaimkiem spólnym z nimi nie ogarnia; *im* zimne słowa mędrców nie wystarczą, *jemu* — zupełnie, i praw koniecznych bezwzględna powaga *dla niego* będzie osłoną i tarczą. Kiedy w czasie jednej z wysokogórskich wypraw po prawdę zamyka mu nad otchłanią drogę groźne widmo ostrzeżeniem, że dalej niema przejścia, zwycięża je, jak Edyp Sfinksa, przejrzeniem zagadki: nicość to granie na słabości serca, On, który „spędził wszystkie mary piękne, by prościej iść do celu", wie, że „ponad nicestwa ciemne progi duch ludzki, duch *jego* wyżej sięga".

Kiedy „chwiejąc się nad otchłanią", oddał wszystko na pewność

dla Polski i dla ludzkości. zostało z niego jedynie to najgłębsze dno natury człowieczej, które jest już znowu powszechnością, wtórną czy siostrzaną powszechnością wszech-stworzenia. Kto się w sobie do takich głębin dokopał, na ich dnie, jak na dnie czarnej studni, znowu trafia na gwiazdy. I to jest asnykowska nieśmiertelność: „spólnych źródeł samowiedza". Bo jak kraniec podmiotowy zubożał, tak zbogacił się przedmiotowy. W stosunkach z Tatrami przekonał się, że matka ziemia, dobra karmicielka" — żyje, od szarego kamienia usłyszał, że jest dziś śpiącem niemowlęciem, jednak kiedyś będzie cierpiał, kochał i żył, jak już dziś cierpią, męczą się i dążą najdalsze mgławice, „gwiaździste węże i liry", aby z siebie nowy wydać świat.

To niezrównanie wysokie stanowisko ducha, na jakiem umieścił się Asnyk, jeden z najgłębszych jego znawców, p. Henryk Szucki, bez wahania określił jako *monizm*. My do tego od siebie dodajmy, że cała twórczość poety to wspaniały transformator ciepła uczuć ludzkich: miłości, patrjotyzmu, rozpaczy, na jasność myśli filozoficznej, na światło nieśmiertelnych gwiazd.

ST. I. WITKIEWICZ

ATMOSFERA MIAST
(Fragment z „Niemytych dusz").

Zastanawiałem się dawniej wiele razy na czem polega to, co nazywamy atmosferą danego miasta, a które czyni, że w jednem mieście i to niezależnie od takich rzucających się w oczy czynników, jak: architektura, kompozycja miasta jako całości w razie jego małości, lub części — w razie nieobejmowalnej łatwo wielkości stopień natężenia ruchu i jego charakter, które wpływają na stosunek nasz do danego skupiska ludzkiego, ale dają się łatwo wyeliminować w sądzie o nim przez odpowiednią analizę i abstrakcję, czuje się ktoś fatalnie lub świetnie. Otóż te „imponderabilja", których dawniej jako zamknięty w sobie (raczej w sztucznej jakiejś przezroczystej kulce arystokratyczno-artystycznego światopoglądu) leptosom-schizoid, nie widziałem, ujrzałem nagle po przejściu pewnej granicy spykniczenia, którą osiągnąłem, poza naturalnym rozwojem w tym kierunku przez radykalne przezwyciężenie używania tytoniu *). Nie widziałem zaś ich dlatego, że byłem en ma qualite de schizoïde odcięty zupełnie od ludzi i nie rozumiałem ich wysoce zróżnicowanych charakterów. Odkrycie to może wydać się wielu z moich czytelników — pykników banalnem — dla mnie było epokowem, jak wszystko wogóle w czasie tej gwałtownej zmiany charakteru i usposobienia. Otóż tem, co stanowi o nieuchwytnej różnicy międzymiastowej, co nadaje tak silne a tak mało uchwytne jakości wszystkim naszym przeżyciom w danej miejscowości, którą zwiedzamy, *jest ogólny charakter stosunku wzajemnego ludzi w niej panujący.* Jeśli długo gdzieś mieszkamy zatracamy zupełnie zdolność reakcji na dany stan rzeczy: najlepiej obserwować zjawiska atmosfery moralnej przy zmianie miejsca połączonej z przeniesieniem w okolice nieznane.

Twierdzę, że zasadniczym stosunkiem polaka do polaka jest wza-

---

*) Szczegóły o tych kwestjach pojawiają się w dodatku, który będzie drugim appendixem do książki mojej o narkotykach. Fajka *bez zaciągania się* może być, dla chcących bądź co bądź coś palącego się w pysku trzymać, doskonałem wybrnięciem, ale tylko po radykalnem przezwyciężeniu istotnej potrzeby tytoniu.

jemna pogarda, jeśli nie naturalna, to sztuczna, a to jest jeszcze gorzej. „Morga castillana", piekielne podobno puszenie się i dżganie się o byle co kastylskich grandów i szlachciców, jest niczem wobec naszej „morgi", ale raczej w ponurem znaczeniu paryskiem. U nich było to zhierarchizowane, objektywne, u nas nie: puszenie się jest zdezorganizowane przez nadrabianie miną, zapychanie pustek pakułami, wydymanie pustych pęcherzy aż do granic pęknięcia. Na ten temat z dużym wysiłkiem humoralnym skomponował poeta następujący czterowierszyk:

Hrabia de Bushy *)
Bardzo się puszy,
Lecz on wie z czego,
Choć to nic mądrego.

Pisałem już o tem puszeniu się w wymiarach pseudo-arystokratycznych w książce o: „Narkotykach", dziełku ku szkodzie ogółu mało niestety czytanem **). Ta sama zasada rozszerzyć się da na wszystkie dziedziny. Doszedłem do przekonania, że w Polsce np. są cztery gatunki hrabiów: 1) ci co mają tytuł i używają go, 2) ci co mają tytuł i nie używają go (gatunek niezmiernie rzadki, ale sam znam takiego, który dla ideji opuścił dom, rodzinę, tytułu nie używa i żyje w nędzy), 3) ci co nie mają tytułu i używają go i 4) gatunek najdziwniejszy iście polski: ci co nie mają tytułu i nie używają go, a jednak niewiadomo jak *są* mimo to hrabiami: on sam pytany stanowczo temu zaprzeczy, skarci lokaja, który doń tak powie i słusznie, a jednak hrabią jest — niema na to rady, jak na pluskwy. Ktoś (pewien znany pianista) radził mi abym się według mojej teorji zaczął teraz dobrze puszyć, to może na 70-tą rocznicę urodzin dopuszę się do hrabiego. Ale nie wykonałem tego mając inne rzeczy do roboty, a powtóre niewiadomo jak świat za 20 lat wyglądać będzie — może nawet w Polsce takie rzeczy stracą wreszcie wartość.

---

*) Postać rycerska z jednego z królewskich dramatów Szekspira, z walk między anglikami a francuzami.

**) Podejrzewam, że „Monopol państwowy" przy pomocy jemu tylko wiadomych, a potężnych środków, zarżnął tę cenną książeczkę, ze względów czysto egoistycznych. Okropne! Przypomnijcie sobie tylko artykuły w „Kurjerku" namawiające na palenie: „papieros odświeża myśl", „papieros umacnia przyjaźń" i t. p. ohydy.

Otóż u nas każdy napusza się tak, aby móc na drugiego z pogardą patrzeć. Twierdzę, że u nas 85% ludzi, poza normalnem odżywianiem się, żyje wprost, tyje i puchnie z pogardy dla „bliźnich". Jest to tak dalece potrzebne dla większości naszego społeczeństwa jak oddychanie. Nie karmieni pogardą dla innych, ludzie tacy więdną, zamierają, flaczeją i gasną marnie. Powrócę do tego problemu w innych transformacjach dalej — narazie chodzi mi o ulicę. Przedewszystkiem zawsze można zrobić zarzut taki komuś, który takie rzeczy, jak ja teraz opowiada: „masz manję prześladowczą, połączoną z megalomanją i wszystko to ci się tylko zdaje. Ciągle jesteś zwrócony na siebie, przewrażliwiony, przedrażniony, o chorobliwej ambicji" i t. d. i t. d.

Jest to bardzo przykry i rozpowszechniony sposób odparowywania wszelkich takich zarzutów, szczególnie jeśli chodzi o oczyszczenie z elementów ohydy zakłamania stosunków przyjacielskich. Jest to jeden z pierwszych objawów oporu u osobników, których, przy pomocy analizy ich węzłowisk, chce się trochę wyważyć z ich zbyt dobrego o sobie mniemania i uniemożliwić im np. znęcanie się nad drugimi, przez odegrywanie na nich swego kompleksu niższości i zatłamszonych, nienasyconych ambicji. Przyznaję, że ja, z moim charakterem i położeniem społecznem specjalnie byłem narażony na tego rodzaju traktowanie. Ale przeciwnie niżby wydawać się mogło z wiekiem, mimo wielu gorzkich doświadczeń i to nieraz na ludziach, którzy mi się zdawali najlepszymi przyjaciółmi, wszelkie rozgoryczenie, które może w małym stopniu miałem w młodości, opuściło mnie zupełnie. Patrzę na najgorsze świństwa względnie pogodnie, albowiem pojąłem ich ukryte mechanizmy. I tam gdzie, w wielu wypadkach widziałbym perfidję, złą wolę, sadyzm czy świadomą chęć upokorzenia, widzę tylko nieszczęsnego snardza, zdanego na pastwę swych bolesnych węzłowisk i popełniającego 3/4 swych drobnych, a nawet wielkich, świństewek zupełnie podświadomie, tylko dla odegrania się jakimś cudem ze swoim kompleksem niższości, w przekonaniu, że jest najszlachetniejszym człowiekiem pod słońcem. I w gruncie rzeczy on że szlachetnym i jest w istocie swej, tylko niemytą duszyczkę ma, o czem zupełnie nie wie i żadnych środków ku jej umyciu niema i nie przedsiębierze. Wracając do tematu: Zauważyłem, że chodzenie po ulicach Warszawy, wyczerpuje mnie w specjalny sposób. Wychodziłem z domu

zdrów i rzeźwy i względnie zadowolony z dokonanych czynów, szedłem tam gdzie miałem ochotę i gdzie nic złego spotkać mnie nie mogło, a dochodziłem na miejsce jakiś skwaśniały, zniechęcony i pożółkły, jakby w stanie lekkiej glątwy, czy depresji i fizycznego nawet osłabienia.

Jako właściciel wielkiej firmy gębowzorów, czyli będąc poprostu psychologicznym portrecistą, mam tę wadę, że gęba ludzka w niesamowity sposób mnie interesuje. Normalnie idąc po ulicy, musiałem każdą twarz zarejestrować: wziąć ją w siebie, szybko strawić, „intuicyjnie" określić i wyrzygać; każdą — to przesada, ale co drugą, trzecią napewno, a kraj nasz obfituje w ciężko zakłamane, interesująco zamaskowane i dziwne, skomplikowane i życiowo zmasakrowane mordy — to trzeba mu przyznać. Po kwadransie takiego pracowitego spaceru byłem gotów: uciekała ze mnie wszelka radość życia i beztroska: mordy zatruwały mnie mniej lub więcej wyraźnie wyrażaną pogardą. Patrzyłem też jak inni się patrzą na innych — to samo: pogarda, cicha, zatłamszona i jadowita, lub bezczelna, pyszałkowata „jurna, butna, junacka, zawadjacka", (ładne wyrazy, co?) i plugawa — zawsze plugawa i śmierdząca. Przestałem patrzeć na twarze i „o dziwo"! (jak mówił poeta) zmęczenie przeszło, beztroska i zadowolenie trwały na ulicy nawet bez przerwy i donosiłem tam gdzie chciałem moje dobre samopoczucie bez uszczerbku. Odkryłem tajemnicę miast: t. zw. „mal ochio" nie jest blagą: ludzie męczą się wzajemnie i wysysają spojrzeniami, tak jak dodają sobie energji i otuchy *). To ostatnie czynią narody o zdrowym instynkcie solidarności: anglicy, francuzi, niemcy, rosjanie, włosi, syngalezi, tamile i dzicy australczycy i pewno inni, których nie znam — polacy nie! — zasadniczo nie szanują się oni wzajemnie, bo nikt nigdy, przynajmniej z początku, niewie czy ma do czynienia z pustym, wygniłym w środku, napchanym pakułami „djabłem", czy też z naprawdę „ludzkim" człowiekiem i dlatego też z góry sobą pogardzają, sycąc w ten nieszlachetny sposób poczucie swej własnej małości i nędzy, zamiast dokonać czegoś co by mogło ich naprawdę wynieść ponad siebie i świat ukazać w nieznanej piękności. Brr...

*) Ostatnio (1937) przeczytałem o tem ciekawą książeczkę Hübnera „Menschen als Arznei und Gift", którą dostałem w prezencie od Krystyny Ejboll.

JANINA BRZOSTOWSKA

WIELKI ŚWIAT

Szłam
ścieżką o rannem słońcu
napotkałam
mrok
w oczach widzących.
Jakże ciężko
pośród ludzi chodzić,
gdy nie widzą,
że wciąż, że codzień —
świat ogromny
zawadza skrzydłem
o kwiaty w ich ogrodzie.

ECHO*)

Noc zagasiła
jawy twej świeżość
zaczekaj
nadchodzi świt!
Nie wiąż przeszłości zgasłego słowa
ze słowem przyszłym:
byt!

Przecież
nie można tak rozpaczać —
te dni rozdarte
miną.
Skądże się słowo żałosne
tracić
splątało z echem
ginąć?!

---

*) Wiersze ze zbioru p.t. „Naszyjnik wieczności", który niebawem ukaże się w druku.

JANINA BRZOSTOWSKA

NIEPOJĘTE

Spójrz w zwierciadło
nie odrywaj wzroku
pląs wiatru zatacza się w pokój
gdy
odurzone oczy
długo
zagarniają lęk
napływający
coraz nowymi falami.

Spojrzenia pytają
i nie chcą znać odpowiedzi
strwożone.

Oto dzień powleka różem policzki,
miękkość jedwabnego połysku
wplata we włosy.
A jednak
drżenie przenika serce
z oczu w oczy wślizguje się niepojęte
i trwa.

MARJA MOROZOWICZ SZCZEPKOWSKA

GENEWA PAQUIS Nr 10.

Scena z aktu III sztuki w 5 aktach pt.

(Stara Pani Pattey, jej córka Antonina i maleńka wnuczka złożywszy Juliuszowi Słowackiemu, który mieszka w ich pensjonacie na Paqius nr 10 życzenia z okazji jego urodzin, wychodzą z pokoju, pozostaje starsza córka Eglantine Pattey i Słowacki).

Eglantine (chwyta rękę Juliusza, wsuwa na nią złotą obrączkę)

...to nie życzenia ode mnie, to prośba. Chcę wprosić się tą fizyczną rzeczą, twojej, Jules, pamięci. Chcę, żebyś wiedział, że możesz liczyć na mnie, na moją przyjaźń. Chcę, żebyś nie zdejmował tego złotego kółeczka nigdy... chyba z moją śmiercią, wtedy odrzuć tę rzecz niepotrzebną, jak ja sama.

Słowacki (rozsuwa zwierzchnią część obrączki, czyta)
...32 sierpnia 1833... dwudziesty piąty rok moich urodzin. Będę ja nosił Eglantine razem z pierścioneczkiem od Babuni. (wsuwa pierścionek na palec, całuje ręce Eglantine).
Jakże to powinienem ci odpowiedzieć? czy nie chwycić cię w ramiona? Matka pisała mi: ożeń się! czyż nie ciebie miała na myśli?...

Eglantine (z wielką prostotą)
...śniła mi się dzisiaj. Ciemny pokój, jakby na parterze. Wielki, czarny krzyż na ścianie, na nim Chrystus z kości słoniowej...

Słowacki

...Boże miłosierny!

Eglantine

...drzwi otwarte do drugiego pokoju, w którym mała kanapka, oświetlona płomieniem zapalonego pieca...

Słowacki

...jakbym tam był! ależ to prawdziwie Mamy dawne mieszkanie!...

Eglantine

...na tej kanapce skulona postać kobieca. Niewidziałam jej dobrze, rozpływała mi się w ciemności. Tylko oczy, wielkie, jak Twoje, wpatrzyły się we mnie. I wtedy ja... tchu mi w piersiach zabrakło!... chciałam jej powiedzieć, że dla niej chustkę białą haftuję i że my... tu... ciebie... bardzo... kochamy. Ale nie mogłam mówić, tylko patrzałam na nią a ona... wyciągnęła do mnie ręce!

Słowacki

...i nic nie powiedziała?

Eglantine

Nic. Tylko wyciągnęła do mnie ręce.

Słowacki

Czyż nie klęknąć mi u twoich kolan i ułożywszy na nich głowę, jak bluszcz owinąć się dokoła twoich ramion i, uspokojony, rozpocząć życie poczciwego człowieka? (poderwał się, chodzi nerwowo) Ale Bóg rzucił chyba na mnie jakieś przekleństwo! Niespokojność dręczy mnie ciągle... chciałbym zrobić coś wielkiego! marzą mi się jakieś czyny ogromne! jak wariat chodzę z myślami, którym opędzić się nie mogę! Żyję, jak lunatyk, jem, mając smak ołowiu w ustach, śpię w gorączce... T w a r z e wyrastają przede mną, śmieją się szyderczo, rwą włosy na głowie, słowa z płomieni miotają! bezładnie tłuką się w gromadach gesty mi swoje i bełkoty swoje n a r z u c a j ą! I M A G I N A C J A jest źródłem moich nieszczęść bo kiedy chwyta mnie w swoje szpony nieprzytomny jestem wszystkiemu, co zwykłe, codzienne, ludzkie! w y m y k a m się wszystkim radościom człowieka, wszystkiemu szczęściu l u d z k i e m u... choćby i twoim ramionom Eglantine (siada przy niej).
A przecie wiem, gdzie szukać lepszego życia, jak z Tobą? w tym cichym kraju, w jakim domku maleńkim, przylepionym do skały, obsadzonym malwami. Żylibyśmy w nim cisi, a może i Mama byłaby z nami?... Dzieci może?... córki, synowie? (ściska jej ręce) Ale najstarszego musiałabyś odpędzać od książek, niechby nad śmiercią Hektora nie płakał, niechby nie uczył się, od Jowisza Iliady zmarszczeniem brwi świat wstrząsać! (zerwał się, chodzi) Dałbym mu zimną Eneidę, której czytaniem... nie podarłem! Niechby ze

spalonego miasta nauczył się z Eneaszem unosić Boga, Matkę, żonę, dzieci! niechby n i c nie zostawił po sobie, czego by musiał... żałować... (stanął przed nią). Patrzaj że na mnie, przyjrzyj się mnie. Jest-żem człowiekiem, z którym można życie dzielić? ja, który przechodzę o b o k ż y c i a?... i nie mogę powiedzieć, że ż y ł e m.

Eglantine (bardzo cicha i prosta w całej scenie)

...ja cała jestem dla ciebie...

Słowacki

A przecie szczęśliwy jestem tylko w świecie tych widziadeł! upiorów, zjawisk! Chwytają mnie one za włosy, ciskają w zawieję wieków, tarzają mnie we wnętrznościach mojej poszarpanej Ojczyzny, że dech tracę, głowę zasłaniam przed piorunami, oczy oślepłe odwracam od strasznego oblicza, które z pomroku światów k r z y c z y coś do mnie! O, serce pęknie mi od tego krzyku...

Eglantine (cicho)

...jestem przy Tobie...

Słowacki

(chwyta jej ręce). Dobrze,że jesteś. Ale przecież nie mogę wyrzec się tego świata, rozumiesz?

Eglantine

Nie, ale wierzę w Ciebie...

Słowacki (zerwał się, zaczyna chodzić)

...w nim jestem cały! i jakiekolwiek królestwo dano by mi tutaj, ja wyciągnę ręce ku tym łańcuchom gwiezdnym i śpiewać będę aż pęknie mi moje ludzkie serce.

Eglantine (klękła przed nim)

...a ja to serce Twoje w srebrnej urnie zaniosę do Twojej Ojczyzny i złożę je u nóg Matki Twojej.

Słowacki (podnosi ją z klęczek)

Wariatko, dziewczyno szalona, nie czepiaj się mnie! zatracę Cię, zagubię Cię w tej zawierusze!...

Eglantine
...niech się dzieje wola... Twoja.

Słowacki
Nie ma przy mnie miejsca na żywego człowieka! Wszystko jest we mnie kaprysem, Eglantine, karmię się okruchami uczuć, fantazji, wciąż na coś czekam i nie wiem na co... Matka, którą nakarmiłbym własną krwią, gdyby tego zażądała, ta Matka, nie wiem czy niestała by mi na zawadzie, gdyby była tu bliska, z krwi i kości. Uciekaj ode mnie! chroń się przede mną, zły człowiek jestem...

Eglantine
...nie zawadzę Ci, jestem tak biedna, jak biedne są słowa moje... szara, maleńka...

(Głos panny Marii Wodzińskiej z zewnątrz, z dołu)
...panie Juliuszu...

Słowacki
...kto to?

Głos
...dzień dobry!

Słowacki (wychylił się oknem)
A, panna Maria, dzień dobry!

Głos Wodzińskiej (piękny, dźwięczny, niski)
Extra ordynaryjna nowina! plan niecodzienny i romantyczny... Ja biorę farby i będę malować, a pan piękne poema napisze... W góry idziemy!

Słowacki
...w góry? kiedy?

Głos Wodzińskiej
Jutro! dość już pensjonatowej nudy. Pan jest na liście, którą Maman zaakceptowała...

Słowacki

Ja... doprawdy jestem... zaskoczony...

Głos Wodzińskiej

...pięknością tego pomysłu, nieprawdaż? Za chwilę jadę do miasta po rzeczy, które na wycieczkę należy zakupić. Rezerwuję panu miejsce w powozie. Adieu.

Słowacki

Moje uszanowanie. Może i jechać w góry. Właściwie dawno się wybierałem. Co myślisz, Englantine?... Jej głos ciepły, niski, jakże przypomina mi zapach razowego chleba. Wy takiego tutaj nie znacie. Jadają go nasi wieśniacy. A razem z chlebem tym zalatuje mnie dym z chat i zapach rozoranej roli... Nostalgia... O, Boże, jak z tym żyć?...

koniec fragmentu.

JERZY E. PŁOMIEŃSKI

NOWE ENCYKLOPEDIE

Odrodzenie encyklopedii, świetnie rozwijającej się w powojennym okresie, jest jednym z charakterystycznych rysów współczesnego życia kulturalnego, którego oblicze wieloletni kryzys przeobraził wprost rewolucyjnie. Jest to objaw zupełnie naturalny i niemniej łatwo zrozumiały. Narastanie nowych wartości wraz z likwidacją wartości tradycyjnych, imponujące różnicowanie się wielu dziedzin wiedzy, z których niektóre z roli pomocniczej, heterogenicznej, wywalczyły sobie prawa samodzielnej domeny naukowej, żeby wymienić chociażby psychologię i logistykę, kryzys współczesnej systematyki naukowej a zarazem przewrót światopoglądowy na wielu terenach naukowej myśli — oto powody, dla których niezbędną okazała się dostosowana do nowego stanu rzeczy inwentaryzacja wymienionych przewartościowań. Jest rzeczą jasną zatem, że na tle takich fermentacyj pojęć i sądów, na tle rodzących się kodeksów prawd, zdobywających sobie powoli prawo obywatelstwa, oraz nowych teoryj poznania i metod badania, słowem na tle kształtowania się nowych widnokręgów wiedzy i w ogóle kultury, zadanie encyklopedii jest szczególnie ważne. Był czas, gdy jej funkcja nie ograniczała się tylko do piśmienniczych i kulturotwórczych zadań, gdy stawała się ona potężnym współczynnikiem dziejotwórczym, zaczynem przygotowawczym wielkiego przewrotu historycznego, (rewolucja francuska), któremu utorowała drogę za pomocą rewolucji myślowej (wielka encyklopedia francuska). Od tego swojego „bohaterskiego okresu" encyklopedia rozbudowała się ogromnie, rozrosła się ilościowo i jakościowo, wchłaniała w siebie nowe zdobycze kultury, różnicując się zaś gatunkowo wytworzyła zamykające się w obrębie pewnej specjalności fachowe grupy encyklopedyczne (np. encyklopedię pedagogiczną, medyczną, wojskową, biograficzną itd), nasycała głód poznawczy czytelnictwa naukowego, wreszcie dla badaczy — uczonych stała się niezbędnym przewodnikiem po obszarach myśli kulturalnej. Ale ze szlaku historycznych oddziaływań musiała się wycofać nieodwołalnie. Wyobrażam sobie, jak pouczającym byłoby naukowe ustalenie wielostronnych aspektów współtwórczości encyklopedii w procesach historycznych i cywilizacyjnych, ustalenie np. jej okresowej roli pionierskiej na tych obu niwach, względnie jej roli, przyśpieszającej recepcję nowych konstelacyj światopoglądowych, a posteriori (encyklopedie sowieckie), tj. bez czynnego oddziaływania na narodziny tych konstelacyj. Ten odcinek badań, leżących odłogiem unaoczniłby dowodnie filiację życia kultury oraz rzeczywistości dziejowej w jej wielowarstwowych, zmiennych układach. Wykazałby, jak dalekim i płodnym

bywał zasięg myśli twórczej, która patronowała wielokrotnie realnym przeobrażeniom na terenie życia społecznego, gospodarczego i politycznego, jak potężnym bywał jej motoryczny bodziec, wielokrotnie ciążący nawet nad drogami dziejowej rzeczywistości rozstrzygająco. Jak zaznaczyłem powyżej — odrodzenie encyklopedii współczesnej zbiegło się, jako fakt następczy ze zjawiskiem przełomu kultury. Naturalnie, że ten kryzys kultury, który jej socjologowi czy też historykowi przedstawia się, jako wielość pochodnych czy rozwojowych stopni od chaosu negacji do ustalonych, nowych form pojęciowych, w encyklopedii musi występować, jako zespół faktów, naukowo przesądzonych, usystematyzowanych. Kanoniczny obowiązek przedmiotowości nie powinien przeszkadzać w niej jednak prawu oceny. Na tej drodze dokonywa się selekcja wartości. Oto dlaczego należy uznać encyklopedię za doniosłe źródło promieniowania wartości kulturalnych oraz pośredniego organizowania kultury umysłowej. W Polsce odrodzonej renesans encyklopedii stanowił ponadto płodny akt wyrównywania wielu zaniedbań kulturalnych, po części zaś oznaczał pęd do przezwyciężenia nadmiernie długo trwającego kryzysu kultury, a zarazem znormalizowania nowego systemu wartości. To powód, dla którego w przeciągu 20 lat istnienia wskrzeszonej polskiej państwowości pojawiło się tyle encyklopedii, nie zawsze zresztą stojących na odpowiednim poziomie i nie zawsze odpowiadających w całej rozciągłości naukowym postulatom. Oto najważniejsze z nich: 5-tomowa Encyklopedia Trzaski, Everta i Michalskiego, niepozbawiona mnóstwa wad, niedociągnięć i luk, nieraz mocno rażących, Encyklopedia Gutenberga (wzorowana na niemieckim wydawnictwie encyklopedycznym Meyera)— niewątpliwie najrzetelniejsza z pośród powojennych encyklopedyj polskich, obejmująca wraz z uzupełnieniami dotąd 22 t., „Świat i życie", nakł. Książnicy-Atlasu, „Ultima Thule" kultura Współczesnej Polski prof. prof. U. P. Peretiatkowicza i Sobeskiego, (encyklopedia biograficzna), 2-tomowa (wydanie nakł. Polsk. Akademii Umiejętności), „Dzieje Literatury Pięknej w Polsce", mocno atakowane przez krytykę, chwiejne i niekonsekwentne metodologicznie, wykazujące poza tym liczne niedociągnięcia rzeczowe, głównie w zakresie nowszej literatury, Powszechna Encyklopedia Ilustr. Przeworskiego, Słownik biograficzny Polsk. Akad. Umiejętności (drukujący się obecnie), wreszcie wydana nakł. Głównej Księgarni Wojskowej — encyklopedia biograficzna „Czy wiesz, kto to jest", wzorowana na angielskiej „Whos who in Centralland". W „Whos who" uwzględniono wcale wydatnie dział polski. Encyklopedia ta, gatunkowo bliska rodzajowi almanachu biograficznego, wysuwa, jako założenie podstawowe zasadę aktualności. Dlatego mówi wyłącznie o ludziach żyjących. W gromadzeniu informacyjnego materiału o nich sięga do źródła pozornie autorytatywnego, jakim jest

informacja bezpośrednia. Na tym tle zdarzają się często, nazbyt często groteskowe nieporozumienia, o których niżej. Whos who uwzględnia w zasadzie elitę życia kulturalnego, gospodarczego, politycznego i towarzyskiego. Ale ten programowy elitaryzm, nie zawsze konsekwentnie przestrzegany nasuwa właśnie poważne zastrzeżenia. Spornym wydać się musi przede wszystkim kryterium równorzędności tzw. „elity krwi" oraz elity twórców, organizatorów kultury i ludzi dziejowych. Mit o wyższości krwi (swoisty rasizm kastowy, swoją genealogią związany bodajże ze średniowieczem jeszcze), o jej dotąd nieprzestarzałych prawach, o jej sankcjach historycznych, mit wznawiany dzisiaj na tle odrodzenia heraldyzmu, jest jednym z wielu kursujących obecnie przesądów, którego źródeł wypada szukać w tragicznym bankructwie w niektórych krajach współczesnej demokracji, a zarazem nawrocie do zastępczych form ustrojowych, będących odmianą feudalnego oraz pośredniowiecznego absolutyzmu (system dyktatur). Na takim właśnie paradoksalnym podłożu, tj. odrodzenia heraldyzmu, które wypada uznać raczej za zjawisko społecznie i kulturalnie ujemne, wbrew jego obrońcom, doszukującym się w nim metafizyki związków, z rodową i dziejową dawnością, odbywa się pozorne ocalanie autorytetu zmasowanej obecnie i zdeindywidualizowanej osobowości ludzkiej. W Whos who, będącej wyrazem wybitnie zachowawczej mentalności angielskiej położono duży nacisk na stronę heraldyczną, co ujawnia się w częściowym wyborze życiorysów, jak również w podkreślaniu we wszystkich życiorysach w ogóle momentów rodowych. Tu i ówdzie wbrew tej zasadzie przemycono w Whos who tzw. szarego człowieka, przedstawiciela inteligencji zawodowej, nie mogącej jednak pretendować do tytułu członka elity. Ale mimo tych niedokładności i znaków zapytania encyklopedia ta stanowi naprawdę cenne, olbrzymie ilościowo vademecum po wymienionych wyżej dziedzinach (kultura, polityka, życie gospodarcze i towarzyskie) szeregu krajów tj. Albanii, Austrii, Bułgarii, Czechosłowacji, Danii, Estonii, Finlandii, Grecji, Litwy, Liechtensteinu, Łotwy, Jugosławii, Polski, Rumunii, Szwajcarii, Węgier i Turcji. W dziale polskim, dosyć rzetelnie traktowanym, jak na teren zagraniczny, gdzie przemilcza się nierzadko lub fałszuje w nonszalancki sposób sprawy polskie, przeważa obraz życia politycznego oraz kulturalnego. Szczególnie nauce polskiej a raczej jej przedstawicielom poświęcono sporo miejsca. Słabiej wypadł obraz literatury polskiej. Pominięto między innymi K. Irzykowskiego, P. Hulkę-Laskowskiego i in. Przydała by się w ogóle tej encyklopedii czujniejsza, bardziej fachowa metoda wyboru życiorysów pisarzy, uczonych i artystów, a poza tym staranniej przestrzegana zasada proporcji. Przy fachowym kierownictwie, które przeprowadziłoby dokładniejszą selekcję materiału informacyjnego, uniknięto by pew-

nych groteskowych nieporozumień. W wielu życiorysach polskich pisarzy, które są właściwie samoreferatami o sobie, uderza całkowita nieobecność krytycznej odległości w stosunku do siebie samego, a przede wszystkim zrozumienia tego, co wypada, a czego nie wypada, zwłaszcza na obcym, zagranicznym terenie. Przesadny panegiryzm pod własnym adresem, graniczący nie rzadko z samouwielbieniem, musi wywołać niesmak. Nie sądzę, by to był kompleks plemienny, jak mniema dosyć gołosłownie, St. I. Witkiewicz. Nie wydaje mi się słusznym uogólnianie tego przerostu indywidualnej próżności, jako podstawowej cechy psychiki plemienno-narodowej. W każdym razie ta wieloosobowa manifestacja naszego snobizmu na europejskim odcinku kulturalnym, gdzie prawa umiaru i hamulce samokrytycyzmu powinny obowiązywać, może w istocie nasuwać arcyprzykrą diagnozę w rodzaju Witkiewicza, wyrażoną w jego niedrukowanym dotąd, moim zdaniem, mylnym w poszczególnych przesłankach, chociaż skądinąd bardzo wnikliwym i głębokim studium (pt. „Niemyte dusze") o polskiej psychice plemiennej, posługującym się zdobyczami Freudowskiej psychoanalizy i psychotypologii Kretschmerowskiej. Wątpię, by ten pawi ogon osobowego samochwalstwa, roztoczony na forum zagranicznym przez szereg naszych pisarzy dobrze przysłużył się kulturze polskiej. Wypada dodać, że z tą zachłanną, niepohamowaną i niestrawną próżnością kontrastuje w krzyczący sposób powściągliwa rezerwa, z jaką mówią o sobie pisarze obcy o dobrze nieraz znanych w Europie nazwiskach.

d. c. n.

JAROMIR BUDZISZ

O WŁAŚCIWĄ OCENĘ POWIEŚCI POLSKIEJ

Na jednym z zebrań literackich, poświęconym sprawom warunków finansowych w jakich żyje pisarz polski, wypowiedziano zdanie, że powieści polskich jest coraz mniej. Prawdziwość tego zjawiska potwierdzili zabierający głos w dyskusji tak literaci, jak i wydawcy.

Jakaż jest przyczyna tego stanu rzeczy?

Wiadomo — tłumaczenia zalewają rynki, wciskają się w ręce rzesz czytających. Za powieści polskie płaci się bardzo mało, albo, jak to już dawniej było z „Syzyfowymi pracami" Żeromskiego, wcale się nie płaci. Ale to nie wszystko. Warto zastanowić się jeszcze nad jedną sprawą, dotyczącą naszej powieści, a mającą ważny na nią wpływ, nad sprawą krytyki literackiej.

Wszyscy, których choć trochę zajmuje stan czytelnictwa w Polsce, znają zapewne książkę prof. Jana St. Bystronia p.t. „Publiczność literacka". Podano w niej między innymi wyniki ankiety przeprowadzonej w Ameryce na temat, jaka przyczyna najczęściej powoduje kupno książki. Odpowiedzi są takie:

1)	recenzja w prasie	— 34,5%
2)	ogłoszenie w prasie . . .	— 24,6%
3)	polecenie przez znajomych .	— 14,5%
4)	nazwisko autora	— 6,0%
5)	zainteresowanie treścią . .	— 4,0%

U nas sprawa przedstawia się bardzo podobnie. Ale jakiż jest stosunek krytyki do powieści polskiej? Otóż krytyka nasza, ta najwięcej miejsca na szpaltach pism zabierająca, pisana najgęściej przez mniej znanych lub anonimowych recenzentów, roi się od wszelkiego rodzaju aż nazbyt często niesłusznych a nie raz prostacko złośliwych napaści na powieści pisarzy polskich.

Podczas gdy najlichsze książki słabych nawet autorów zagranicznych zachwala u nas krzykliwa reklama jako genialne, o powieściach polskich każdy recenzent z najbłahszego powodu i nawet książki nie przeczytawszy, bez wahania feruje jak najsurowsze i wręcz olimpijskimi gromami warczące wyroki — a za tym znakomitszego i bystrzejszego krytyka siebie uważa, im gromy te są złośliwsze.

Mówi się często o tym, że za granicą nakłady książek wielokrotnie przewyższają nasze. Czy ustawiczne kpiny z książki, a szczególnie powieści polskiej, przyczyniają się do zwiększenia ilości jej czytelników, i czy nie budzą w nich nieufności, śmiem wątpić.

Nie mówię tu oczywiście o takich asach naszej krytyki, jak St. Adamczewski, Al. Brückner, K. Czachowski, J. Lorentowicz, St. Kołaczkowski, L. Piwiński i wielu innych. Stoją oni ponad plejadą złośliwych wyrocznisiów. Najsurowszymi sędziami są ci pomniejsi recenzenci, którzy osaczają mającego nieszczęście, z tych czy innych powodów wpaść pod ich kły autora (bezinteresownie nigdy nie piszą, zawsze mają jakieś ukryte powody) i szarpią go i gryzą tak beztrosko, jakby nie szło o życie: o dobre imię pisarza. Nie dbają o to, że mogą go wykończyć, bo nie każdy jest tak silny, jak Balzak, który, pomimo, że pierwszych jego powieści jako niezmiernie słabych, żaden wydawca drukować nie chciał, pisał dalej.

Przy tym, co najważniejsze, na te złośliwe wypady narażone są książki nie tylko najsłabszych naszych autorów, ale nawet najlepsze, i pisarzy najznakomitszych. Krytycy są wobec nich niesłychanie często nielojalni, bo nie szczerym, własnym sądem się kierują, lecz oceny swe uzależniają od okoliczności pisarzowi nie raz zupełnie obcych i nieznanych.

Dla tych wszystkich przyczyn należałoby otworzyć oczy publiczności czytającej, że nie każde słowo umieszczonej w dzienniku czy tygodniku recenzji jest święte. Naiwnych, wierzących w to, jest jeszcze bardzo wielu. Że recenzent jest raczej najeźdźcą na terytoria autora, nastawionym do jego pracy przychylnie lub nieprzychylnie, w zależności od wielu spraw bo nawet od porachunków z wydawcą autora, których czytelnik nie zna i nie przeczuwa. Wiele bowiem jest kwestyj między wydawcą, autorem i krytykiem, o których się nie mówi.

Sądy inteligentnego czytelnika, uczciwe i niezależne nawet początkowo, aż nazbyt często po przeczytaniu takich psychicznie i dziedzicznie obciążonych elukubracyj, paczą się. Czytelnik bowiem, wziąwszy za dobrą monetę przeczytane bałamuctwa, noszące nieraz pozory głębokich a słusznych, choć zawiłych, wywodów, staje się w stosunku do autora najbardziej zaufania godnego, nieufny i sceptyczny.

Dlatego autorzy powinni o tej sprawie pisać, nie zdawać się na łaskę i niełaskę krytyków. Powinni ich wreszcie zapytać: czy nie za wiele złośliwości? Byłby czas zabrać się z kolei i do was, panowie recenzenci!

WANDA POGONOWSKA

BIEDNE DRZEWA

(z cyklu „Warszawa w oczach malarza")

W czasach bardzo odległych, powiedziałabym zamierzchłych, jednym słowem, przed wojną, była powódź „Świętojańska". Widocznie wtedy była moda na takie powodzie, teraz zaś modniejsze są powodzie w lipcu, lub w marcu. Otóż kochana nasza Wisełka wylała szeroko na całym obszarze, jaki tylko zalać mogła.

Wylała sobie tedy Wisełka, nie bacząc na kordony, dzielące nasze ziemie na zabory. Wylała więc w ówczesnej świętej Galilei i według relacji „Djabła" krakowskiego z tego czasu, tak z „Widnia" odpowiadano na petycje Galileuszy:

„Poco wam rzek regulacje,
poco wam kanały?
gdy pod wodą są plantacje,
a spławnym kraj cały?".

Otóż w tym pamiętnym roku powodzi, jechałam dzieckiem jeszcze będąc, poprzez kraj wodą zalany, tak, że pociąg szedł jakby po lagunie i dotarłam w mej pierwszej w życiu większej podróży aż do Warszawy.

Nie pamiętam już, jaki był wówczas stan robót przy tzw. trzecim moście, tj. dzisiejszym moście ks. Józefa Poniatowskiego, w każdym razie poprowadzono nas w te strony, gdzie się z Alejami przecinała ulica Smolna.

Patrzyliśmy z wysoka na wodę.

Rozlewała się szeroko, szeroko. Dziecinne moje oczy nie potrafiły wprost znaleźć końca tej wody, a z wody sterczały drzewa, wielkie, wspaniałe, stuletnie pnie, których korzeni nie była w stanie podmyć wezbrana fala Wisły.

— Wujciu, co to za drzewa? zapytałam warszawskiego wujaszka, który nas gościł i oprowadzał po stolicy.

— To Saska Kępa, moje dziecko, zalana przez powódź.

„Saska Kępa zielenieje
tańczą panny i złodzieje!".

Zapiszczał mi nad uchem jakiś łobuziak z Powiśla, który się również obok nas powodzi przyglądał.

Zieleniała rzeczywiście Saska Kępa, zieleniała nawet ponad falami zalewającej ją powodzi.

Dziś mocny wał broni jej przed zalewem wiślanych fal, ale zieloność jej zanika.

Jużto w Warszawie mało jest pietyzmu dla zieleni w ogóle, a dla drzew, starych, pięknych drzew, w szczególe.

Przed kilku laty mieszkałam na Saskiej Kępie, zwabiona jej dobrym powietrzem, zielenią pięknych starych nadwiślańskich topoli i osik, których całe szeregi przecinały stare sady tej nowopowstającej dzielnicy.

Obudził mnie raz łoskot siekier.

Regulację tej dzielnicy rozpoczęto od wycięcia pięknych starych drzew.

Czyż nie można było planu rozbudowy dostosować do istniejących drzew, zwłaszcza, że rosły szeregami i można było w ich cieniu przeprowadzać ulice, co wyszło bv tylko na dobre tej całej willowej dzielnicy?

Nie można odmówić pewnego wdzięku Saskiej Kępie. W formie, w jakiej się dziś przedstawia, jest sobie wcale miłą dzielnicą willową, bezdrzewną, bo w nowopowstałych ogródkach rosną narazie tylko krzewy, lub kilkuletnie szczepy owocowe.

Ale to, co mogło być jej ozdobą pierwszorzędnej wartości: stary piękny drzewostan, zostało zmarnowane bezpowrotnie.

Miała Saska Kępa do niedawna jeszcze jedną osobliwość: autentyczną, starą strzechą krytą stodołę.

W poczuciu swej iście muzealnej wartości budynku drewnianego, krytego słomą i położonego na terenie Wielkiej Warszawy w dodatku w jej nie tylko „reprezentacyjnym", ale i naprawdę pięknym odcinku, jakim jest bezsprzecznie Aleja ks. Józefa Poniatowskiego, rzeczona stodoła, nie kryła się bynajmniej poza innymi budynkami, lecz paradowała jawnie i godnie w otoczeniu, kilku pięknych starych drzew.

W pewien grudniowy wieczór, gdy wybierałam się do miasta z mego domicilu, położonego na krańcach Wielkiej Warszawy, wielka łuna na niebie wyszła mi naprzeciw.

Zanim doszłam do tramwaju, łuna w poświacie elektrycznych lamp przygasła, a z nią przygasła ciekawość, co się właściwie pali.

W pewnej chwili jednak długa jazda tramwajem, urozmaicana lekturą została przerwana. Znaleźliśmy się w orbicie pożaru.

Długi wąż przecinał jezdnię i wytryskał strumieniem wody. Szeregi wozów tramwajowych stały z jednej i drugiej strony nie mogąc kontynuować swej jazdy.

Czarna masa ludzi z tramwajów zebrała się na skraju szkarpy i przypatrywała się... płonącej stodole.

Taki był jej koniec, pełen blasku, jak cały jej żywot w tej reprezentacyjnej dzielnicy Wielkiej Warszawy.

Nazajutrz przejeżdżałam znów tą samą trasą. Śmiertelne szczątki nieboszczki stodoły dymiły jeszcze wśród otaczających ją pra-

starych drzew, z których jedno najbliżej rosnące, złożyło haracz z swej korony żywiołowi ognia.

Bywają różne namiętności. Moją namiętnością jest czytanie w tramwaju. Nie słucham nigdy miłych rozmów, ani soczystych kłótni, ba, nie patrzę nawet przez okna na znany z codziennych jazd krajobraz. Wyjątek stanowi tylko obowiązkowe spojrzenie na nurty wiślane, do których mam specjalny sentymencik.

Nie patrzyłam więc długo i na miejsce po stodole...

Aż raz spojrzałam na ślad doczesnego bytowania nieboszczki.

Na tle łuków nowego kolejowego mostu czerniał kikut napół spalonego drzewa. Z tamtych zaś zdrowych wspaniałych drzew nie było śladu. Nie wiem, czy przez wyrąbanie ich chciał sobie właściciel stodoły odbić straty poniesione skutkiem pożaru?

To pewne jednak, że przez wycięcie tych, ostatnich prawie na Saskiej Kępie starych drzew, stracili wszyscy mieszkańcy całej Warszawy, miasta tak pod względem zieleni i roślinności ubogiego.

Mam wrażenie, że na terenie Warszawy należałoby założyć „Towarzystwo ochrony zieleni i drzew", aby ratować od zagłady, co się jeszcze da uratować. Czyż można bowiem być pewnym, że nie padną pewnego pięknego dnia pod siekierą piękne drzewa ogrodu Ministerstwa Rolnictwa, jak padły wspaniałe okazy, cudem jakimś zachowane przed jego frontem. To samo może spotkać Ogród Saski, Łazienki, Aleje Ujazdowskie.

Warszawa lubi ścinać drzewa, a jeśli już nie zupełnie ścinać, to je przynajmniej na swój sposób anglezować.

Ze skończeniem mrozów rozpoczęli więc ogrodnicy warszawscy swoje niszczycielskie zajęcia. Na Krakowskim Przedmieściu natknęłam się na wielką drabinę, na której siedzący „pomocnik ogrodniczy" golił nieszczęśliwe drzewo przy pomocy wielkich nożyc.

To samo odbywało się na wszystkich zadrzewionych ulicach miasta. Mamy więc wszędzie, mówiąc stylem modnym „aleje znormalizowanych kikutów".

Zieleń jeszcze jako tako okrywa przed okiem współczującego widza te nieszczęsne drzewa, ale nie są to drzewa wiecznie zielone. Naturalnym porządkiem rzeczy, większą część roku sterczą nagie, w swej żałosnej, kalekiej postaci.

Z grubych kikutów sterczą cieńsze kikuty, z tych jeszcze cieńsze. Żal patrzeć...

Gdzież się podziało piękno zarysów bezlistnego drzewa, jego wspaniałych konarów i gałęzi?

Przykład idzie z góry.

Gdy miasto tak szpeci swoje ulice i ogrody, dlaczego nie ma szpecić swego małego ogródka właściciel podmiejskiego domku?

Poco mu drzew naturalnych? Woli swoje akacyjki, czy lipki stylizować na miotły!

MARJA MOROZOWICZ-SZCZEPKOWSKA.

NOTY Z TEATRU

Premjera w Teatrze Nowym: Bratnie dusze K. H. Rostworowskiego, krotochwila w III aktach.

Trzydzieści lat temu sztuka ta, napisana w formie dramatu, padła. Przerobiona przez autora na krotochwilę, formę dramatyczną wagi piórkowej, jest pewnego rodzaju smakołykiem dla istotnego znawcy teatru. Posiada przedewszystkiem ważność dziś bardzo cenioną i właściwie w czasach przemiany wszystkich wartości może najcenniejszą: ważność autentyku. Ten arystokrata narysowany doskonale przez rdzennego arystokratę, cieszy i smuci, ale najwięcej bawi widza niekłamaną prawdziwością. To wytknięcie nicości duchowej, to pokazanie niechlujstwa moralnego, to zdemaskowanie frazesu przyrośniętego do warg od pokoleń, to nie tendencyjność ludzi z „tamtego frontu", pragnących zniszczyć „sferę", podeptać „tradycje", choćby już dawno była beztreściwą skorupą lub próchnem posiadającem wartość nawozu pod lepszą przyszłość...

To poprostu ironiczne spojrzenie człowieka tej samej sfery, znającego swoich ludzi. I dlatego widz bawi się znakomicie zabawą z gatunku dyskretnych, nie sytuacjami aż nazbyt błahemi, nie akcją sztuki, bo tej prawie niema, lecz samemi figurami, rysowanemi precyzyjnie (zwłaszcza książę) jakby piórkiem. Figury te rozporządzają pierwszorzędnym djalogiem, niezwykle prawdziwym. Ten djalog bystrze podsłuchany, jakże smakuje swoją prostotą i naturalnością!

Treść sztuki oparta na jednem zdarzeniu w stajni jaśnie pana, rozbita na trzy punkty jest właściwie żadna, kończy się tam gdzie się zaczęła, ale wprowadza nas w światek, maleńki światek żywych ludzi.

Sztuka jest jakby ironicznym komenatrzem „Walącego się domu" Szczepkowskiej, jest skostniałym uśmiechem nad indolencją spadkobiercy wszystkich niemocy swojej sfery, zżartej przez mole, skwaszonej przez samoubóstwianie. Ten młody jaśniepan, oprawiony jak w kosztowne ramy, w swoje latyfundja i miljony, nie umie nawet wyciągnąć ręki po prostą babę, chciałby i boi się, wije się cały między wątłą, jak on, żądzą, doskonałemi manjerami i tradycją, że wszystko na całym świecie spada mu samo do „gąbki".

I gdy kurtyna zapada, nie wiemy jaki owoc życia spadnie mu mimochodem w rękę, czy upragniona, pachnąca chłopską chałupą Magda, tak na chybcika, przelotem, żeby krewki mąż się aby nie dowiedział, czy żądna wyniesienia ekonomówna, która dopiero wtedy budzi przelotne oburzenie, a więc zainteresowanie, gdy proponuje mu aby... pocałował psa w... nos. Ten powiew świeżości wart więcej niż sztuczne, nieszczerze grane pięknoduchostwo, którem nudziła

śmiertelnie znudzonego tem, że żyje, księcia. Ta bezczelność dziewczyny, jak podcięcie szpicrutą podnieci może wątlutkie nerwy i mikroskopijne żądze. Byle tylko Fela zrozumiała, że to jest droga do łóżka księcia.

W sumie ta lekka sztuka wielkiego autora „Judasza z Karjotu" jest interesującą notatką, skreśloną precyzyjną ręką majstra, jakże biegłego w strukturze dramatu.

Wykonanie znakomite. Na pierwszym planie Roland, finezyjny do ostateczności, cyzelowany, jak ongi Kamiński w każdym odruchu i spojrzeniu, wymarzony odtwórca tej narysowanej figury. Pani Lubieńska, Żukowski, Dominiak i inni, dopełniali wzorową całość przedstawienia oprawionego w świetną dekorację. Te perspektywy w każdym akcie widziane z okien, wyrażone pysznemi makietami, oprawiały sztukę, jak miąższ najcenniejszą część owocu — ziarno.

Reżyserja Cwojdzińskiego pierwszorzędna. Mamy wrażenie, że reżyser dołożył bardzo wiele w finezyjnem wykończeniu figur.

Teatr Narodowy: Szkoła Obmowy Sheridana, w reżyserji Zelwerowicza, dekoracjach Daszewskiego.

Świeża jeszcze i jędrna sztuka, pełna ciętości i rewelacyjna napewno w roku swego powstania 1777. Angielski Świętoszek, sprytny łajdak, przeciwstawiony niefrasobliwemu hulace, którego zalety prawdomówność i szczerość podniesione są do ważkości cnót. W imię tych właśnie autor przebacza mu grzech trwonienia fortuny ojców, nieróbstwo, będące przywilejem sfery, w której głównem zajęciem jest szkalowanie bliźnich. Sztukę podał nam Zelwerowicz w dosadnej charakterystyce wszystkich postaci, może aż nazbyt kukiełkowych. Kto wie jednak, czy to nie najlepsze podejście do starego teatru, gdzie ludzie już zwietrzeli mało nas interesują, zostały typy.

Dekoracja Daszewskiego interesująca i inteligentna, powyginana i sztuczna, jak i ludzie.

Jednocześnie Teatr Jaracza wystawił Świętoszka Moljera w kapitalnem wykonaniu swego Dyrektora i interesującej, soczystej reżyserji Perzanowskiej.

Teatr Mały gra Rozwiedźmy się Sardou w finezyjnem wykonaniu Romanówny i Węgierki w tłomaczeniu Cwojdzińskiego. Dla braku miejsca zaznaczamy tylko, że musi chyba jakiś cel być w tak gremjalnem wystawieniu, niemal przez wszystkie teatry, starych autorów. Jaki? Okaże się w dalszym toku rozpoczynającego się sezonu teatralnego w stolicy.

Z KSIĄŻEK

„Ze wspomnień o Asnyku" L. Kotarbińska. F. Hoesick 1938 r.

W stulecie urodzin Asnyka ukazała się książeczka Lucyny Kotarbińskiej: „Ze wspomnień o Asnyku" *).

Wśród zachwytów nad wielkością poety, urokiem jego ducha, autorka podnosi cechę, z którą nie wiem czy znawcy Asnyka zechcą się zgodzić. Choć pisał: „Trzeba kochać i kochaną być na ziemi".. — sam ludzi nie kochał. Bardzo wiele osób nie lubił, nie skłonny do towarzyskich kompromisów, zniechęcał do siebie. Poza szczupłym gronem najbliższych nie cieszył się sympatią i nie miał też oddanego sobie jednego serca. „Tak mało, tak mało".

Świat, otaczający poza pięknościami natury był dlań raczej niemiły. Niecierpiał szumu ulicy, raziło go wiele objawów zewnętrznego życia. Nieumiejętności podejścia do ludzi i stworzenia sobie odpowiednich warunków, przypisuje Lucyna Kotarbińska ponury dom nad Rudawą, złe stosunki z synem, pustkę ostatnich dni i smutek samotnej śmierci. Prawdziwie serdeczny węzeł przyjaźni łączył Asnyka z Maciejowskim, ale przerywał się on z każdym rozstaniem. Charakterystyczne to na owe, epistolarskie jeszcze czasy, Asnyk nie lubił pisać listów, poza koniecznymi, rzeczowymi. Z podróży nawet z Cejlonu, o którym mówił z entuzjazmem, wysłał do Sewera tylko kilka, mało znaczących, listów. Tłumaczył się: „Czytałem dużo podróży i dużo pięknych rzeczy, ale gdy porównywałem to po tym z naturą, tyle znajdowałem zawsze kłamstw, że to mnie nie zachęca do pisania. Zresztą prozą trudno mi pisać, prozaikiem jestem nieszczególnym".

Niezwykle skromny, bez cienia zarozumiałości, obojętny na krytykę, był mniej, niżbyśmy dziś żądać mogli, związany z ówczesnym życiem. Wynikało to zapewne z rozdźwięku, jaki wprowadzał swą mimozowatą naturą, a nawet zewnętrzną powierzchownością, a dość daleko posuniętymi przekonaniami społecznymi. „Mnie bo arystokracja ma za demagoga, a partja postępowa za zaprzedanego arystokracji" — mówił kiedyś.

Że działacz społeczny miewał „tremę" dziwić się nie można, skoro do obowiązków jego należało... prowadzenie poloneza. W Krakowie, na balu, który dał podwaliny Towarzystwu Szkoły Ludowej, Kotarbińska przytacza rzadkie prawdziwie „energiczne" jego wystąpienie, zaznaczając, iż wówczas zawsze czuł się podniecony i młody. „Wystąpiłem dziś także energicznie przeciw nietaktownemu znalezieniu się policji wobec zebrań socjalistyczno-robotniczych".

Najlepiej czuł się Asnyk w sferze czystej myśli. Czytał bardzo wiele. Wszystko co literatura i dziennikarstwo ówczesne dawało, nie tylko pochłania, ale też gromadzi w swym domu, przepełnionym książkami i pismami. Z polskich autorów bardzo wysoko cenił Orzeszkową, tylko zarzucał jej brak umiłowania natury! Orzeszkowej „botanizującej" praktycznie i teoretycznie! Zielniki jej rozsyłane były bliskim, karty przepełnione drzewami, kwiatami i ziołami leżą w księgach.

Wspomnienie Kotarbińskiej zamykają ostatnie pośmiertne odwiedziny Asnyka. Nie była w Krakowie w czasie śmierci poety, przyjechała po pogrzebie i poszła zobaczyć jego grób. Obojętny na to, gdzie wypadnie mu zostać na wieki, nie chciał tylko — Skałki. Tam go pochowano. Na płycie złożyła konwalie, które wśród mało lubianych rzeczy — bardzo lubił.

AURA WYLEŻYŃSKA

P. PODHORSKA-OKOŁÓW: „Kobiety piszą". Nakł. F. Hoesicka, 1938.

Stefania Podhorska Okołów, naczelna redaktorka Bluszczu, autorka wielu artykułów rozrzuconych po czasopismach, prelegentka radiowa, wydała tom prac krytycznych pod tyt.: „Kobiety piszą" *). Książka ta opatrzona jest notatkami

---

*) Warszawa — 1938. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

bibliograficznymi, nie zawsze kompletnymi i fotografiami, nie wiem czy należycie charakterystycznymi. Albowiem fotografia podpowiada człowieka lub go ukrywa...

Jakkolwiek rzecz poświęcona jest wyłącznie literaturze kobiecej, wbrew oczekiwaniu nie uwzględnia wcale momentu autobiograficznego. Każda pisarka ukazana jest tylko od strony swego dzieła. Brak ten wynika może stąd, iż książka powstała fragmentarycznie, w ciągu lat i narastających przeżyć. Cierpi na tym kompozycja, cierpi za mało podmalowane tło, niektóre postacie zawieszone w próżni, np. nic o tym nie wiemy, że Bronisława Ostrowska mieszkała czas dłuższy w Paryżu a po tym w Rosji, co oczywiście nie może być bez znaczenia. Ale fakt, że każda pisarka ukazana jest jedynie od strony swego dzieła, przyczynia się do świeżości i bezpośredniości wrażeń. Nie znaczy jednak, aby subiektywizm przyćmiewał jasność widzenia. Przeciwnie, Stefania Podhorska-Okołów literackie sylwetki kreśli liniami zapożyczonymi z ducha danej autorki, podchodzi do niej z poszanowaniem, starając się patrzeć z jej punktu widzenia, sądząc miarą odpowiednio dostosowaną. W ocenie każdej twórczości posługuje się porównaniem — rozwoju z początkiem, nie szuka wpływologii, nie zestawia z innymi, wyjątkowo czyni to tylko w stosunku do Zofii Kossak, różnica z powieścią historyczną Sienkiewicza sama się narzuca, więc sprawy tej nie można było pominąć.

Książkę otwiera szkic: „Renesans Orzeszkowej". Dla zrewidowania poglądu o tej wielkiej patriotce i społecznicy jako artystce, nawołuje Stefania Podhorska-Okołów do czytania na nowo wydanych jej prac. Sądzę, że to Listy wyznaczą Orzeszkowej właściwe miejsce w naszej literaturze. Ad Astra jest trudne i obce dzisiaj, ale korespondencja Orzeszkowej ze współautorem tej powieści, Tadeuszem Garbowskim, jest niezmiernie pięknym dokumentem zarówno psychologii twórczej, jak też niestarzejącej się z latami duszy kobiecej.

Po Orzeszkowej idą trzy zmarłe pisarki: Bronisława Ostrowska, Maryla Wolska, Zofia Rogoszówna, z żyjących poezję reprezentują Kazimiera Iłłakowiczówna i Maria Pawlikowska, zaś prozę sześć czołowych naszych pisarek: Zofia Nałkowska, Maria Dąbrowska, Zofia Kossak-Szczucka, Maria Kuncewiczowa, Herminia Naglerowa i Ewa Szelburg-Zarembina. Dlaczego brak Heleny Boguszewskiej i Poli Gojawiczyńskiej? Oczekiwałoby się też rozdziału poświęconego całokształtowi działalności kobiet na polu literackim.

Ciekawy jest stosunek Stefanii Podhorskiej-Okołów do Nałkowskiej. Obok zachwytu dla jej mądrości, dla doskonałości formy, widnieje sprzeciw, nie tyle rozumowy co uczuciowy, wobec przysłowiowego dziś relatywizmu, wobec zamrożonego intelektualizmu. Choć na problem Nałkowskiej spojrzećby można inaczej, jak to czyni Maria Żeromska („Epoka"). Wówczas ujrzy się, że relatywizm nie jest absolutny tylko normowany warunkami i że chłodny widz żąda też rewizji dzisiejszego życia.

Podhorska doskonale rozumie miłość do ziemi bohaterów Dąbrowskiej, troski ich Dni i Nocy. Na nich się zatrzymuje, jakby się bała Bezdroży? Państwa Kowalskich, którzy są wszędzie, nie kończą się nigdy i nigdzie, doskonale przeciwstawia jednej na milion Cudzoziemce, słusznie podnosi zespolenie stylu Ewy Szelburg Zarembiny z jej duchową indywidualnością, w dłuższym studium przeprowadzając rozbiór Krauzów Naglerowej oddziela pierwiastki tamtej epoki od składników, które tworzą człowieka wiecznego.

Książkę Stefanii Podhorskiej-Okołów czyta się z pożytkiem, jako prawdę o kobiecie polskiej na przestrzeni ostatnich 50 lat, z zajęciem, chwilami niby powieść o powieści. Nader interesujące jest duchowe oblicze samej autorki, które rysuje się wyraźnie, choć może bez jej świadomości. Zarówno w tym co mówi, jak też w sposobie mówienia. Język jest soczysty, styl pełen porównań nieretorycznych lecz istotnych, zaczerpniętych z bystrej obserwacji życia, wiedzy i umiłowania przyrody. Zapał i entuzjazm świadczą o zdolności wszechstronnego odczuwania zjawisk z dziedziny literatury i sztuki.

AURA WYLEŻYŃSKA

U PISARZY

Rosa Bailly, której kilka wierszy podamy w nast. n-rze Skawy, szlachetna przyjaciółka Polski, inicjatorka i kierowniczka Tow. Les Amis de la Pologne, kilka lat temu zdobyła w literaturze francuskiej znane nazwisko poetyckie trzema kolejno wydanymi, na wskroś oryginalnymi zbiorami poezyj górskich: Montagnes Pirenees, Alpes, Gavarnie o merveille, z których pierwszy zdobył nagrodę. Po nich przyszedł piękny tom prozy: Au coeur de la Pologne, a w tej chwili przygotowuje Rosa Bailly do druku tom piąty, znowu poezyj, poświęconych zabytkom rzeźby barokowej, które autorka podziwiała za swoich pobytów w Polsce.

P. *Rosa Bailly* przyrzekła Skawie przysłać do jednego z najbliższych zeszytów wybrane fragmenty nowego tomu, tak, że czytelnicy poznają je, zanim jeszcze zostaną ofiarowane publiczności francuskiej.

Janina Brzostowska przygotowała do druku nowy zbiór wierszy, który ukaże się niebawem pt. „Naszyjnik wieczności".

Maria Morozowicz-Szczepkowska napisała ostatnio sztukę o Juliuszu Słowackim pt. „Genewa, Paquis nr 10", z której fragment dajemy, i pracuje obecnie nad dużą powieścią cykliczną pt. „Mroki".

J. E. Płomieński przygotowuje monografię o zagadnieniach ludowych w literaturze polskiej, oraz zarys monograficzny o Ed. Dembowskim. Ten sam pisarz pracuje równocześnie nad sztuką o roku 1846 (rzeź galicyjska).

St. I. Witkiewicz posiada dotąd w tece (nie mogąc znaleźć wydawcy) studium o polskiej psychice plemiennej pt. „Niemyte dusze" oraz powieść filozoficzną.

Pod redakcją wydawnictwa „Skawa" w przygotowaniu znajduje się „Antologia poezji polskiej (1920 — 1940)".

Poczynając od następnego N-ru, rozpoczniemy druk jednej z nadesłanych nam powieści.

BIULETYN Nr. 1

Karta niniejsza otwiera stałą rubrykę „Skawy": walkę o język. Smutne, że o język — o *polski język* — w niepodległej Polsce trzeba walczyć! Swego czasu utyskiwaliśmy, że go nam zepsuła niewola, wpływy zaborców; czyli że teraz z każdym rokiem miało być lepiej. Takby się zdawało, takby być powinno. Jest inaczej. Język okresu niewoli był krystalicznie czysty w zestawieniu z tym, jaki obecnie dokoła nas brzmi i jaki nam oczy w druku razi. Dwadzieścia lat rośnięcia Polski niepodległej, gruntowania się jej powagi w świecie, imponującego rozwoju wielu dziedzin życia w jej granicach państwowych znaczy się jednocześnie jako dwadzieścia lat zanieczyszczania się — mocniej: niszczenia się — polszczyzny. Nad przyczynami zastanowimy się kiedyindziej, w tej chwili zwracamy uwagę na fakt, który sprawę jeszcze bardziej gmatwa.

Przed dwoma laty „urzędowo" narzucono Polsce zreformowaną ortografję, która zaraz z dniem ogłoszenia zaczęła powszechnie „obowiązywać". Zamiast zająć się „urzędowo" i uczynić „obowiązującem" przestrzeganie czystości języka, ratowanie go od zalewu błędów i paczeń, co byłoby zasługą, dorzucono jeden więcej rozdział do gnębienia go i psucia. Bardziej jeszcze niż w pomyśle, elaborat chybiony jest w wykonaniu. Miano może powody do uregulowania pewnych drobiazgów — zrobiono trzęsienie ziemi. Wszystko wyskoczyło z zawiasów i wszystko od dwu lat stoi pod znakiem zamętu. Społeczeństwo wyczuło intuicyjnie „jakość" reformy i stanęło do niej w stosunku wręcz wrogim. Trzyma się ona wyłącznie nakazem, a więc o tyle i tam, gdzie nakaz sięga. Pozatem ogół jej nie uznaje, nie chce o niej wiedzieć. Niechęć jest powszechna i raz po raz wychodzi na jaw protestami, zatargami, satyrą. Jest już i kilka poważnych wydawnictw polemicznych i obalających.

Dużo książek, i to najlepszych piór, wcale jej się nie trzyma, we wszystkich częściach kraju są organy prasy, które nie odmieniły fizjonomji na żądanie.

Przejdźmy okiem po tym ruchu. Otwiera go ankieta pisarzy w tzw. „czerwonej prasie" i odrazu zaznacza się ostro opozycyjne stanowisko *Wilna*. Zkolei zaczynają ukazywać się zbiorowe protesty literatów, składane p. Ministrowi Oświecenia Publicznego, a następnie zebrane w specjalnym numerze Świata (52-im r. 37-ego), godzącym w reformę kilkunastoma artykułami znanych autorów. W lecie r. b. otrzymuje legalizację w Warszawie *Komitet Obrony Języka*, który stając na podstawie szerszej: obowiązków wobec rodzimej mowy, zaznaczonych na początku niniejszego artykułu, za pierwsze swoje zadanie uważa uporać się ze zmorą pisownianą i nie zejdzie z placówki aż do skutku. Ostatnio, we wrześniu, Zjazd Teologów, odbyty

w Krakowie, 200 głosami orzeka, że w działalności piśmienniczej i kaznodziejskiej swoich członków nowej pisowni nie uznaje.

Wystarcza to chyba jako świadectwo nastroju społeczeństwa, jednak nie wystarcza jako taktyka walki. Ta wymaga zszeregowania. Węzłem łączącym dla wszystkich powinien być K.O.J. *), do którego każdy może się zapisać, jeśli tylko uważa, że nową pisownię należy obalić. Powinniśmy sobie uświadomić, iż pisownia ta utrzyma się tylko wtedy, jeżeli ogół polski poprzestanie na niemym oporze, lub sporadycznych jedynie protestach. Z chwilą, gdy masowo wyjdziemy z bierności, będzie musiała być zniesiona. Walka z nią nie jest sprawą, którąby przynosiła Polsce szkodę, (szkodę przynosi stan obecny), sumienie obywatelskie w grę tu nie wchodzi — argument taki to czczy frazes — możemy, a nawet musimy się przeciwstawić. Fakt brany, jak naprawdę wygląda, ogranicza się do tego, że zrobiono źle, nieopatrznie, nie licząc się z poczuciem językowem, z literaturą, z logicznemi, artystycznemi i akustycznemi wymaganiami języka; — trzeba się cofnąć. Im prędzej, tem lepiej, bo krzywdzących i szpecących polszczyznę wydawnictw wciąż przybywa, a ludzie coraz bezradniej brną w nieporozumienia.

Jedno pociągnięcie pióra wywołało stan obecny, i jedno może Polskę od niego oswobodzić.

---

*) Adres K.O.J.: Warszawa, Marszałkowska 117 m. 9, tel. 619-59.

DRUKARNIA
EKONOMICZNA
J. KUBIAK I S-KA
WARSZAWA
UL. LESZNO 20
TELEFON 11.48-33
367